№ 15.

Warszawa, dnia 3/15 Kwietnia 1865 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). Na Prowincji *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75). — W Cesarstwie i Królestwie, z dopłatą kopert pocztowych *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50); *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 kop. 75).
Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą. — Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować. — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

IŁŻA POD RADOMIEM

(Dokończenie).

III.

NAPADY TATARSKIE I POGORZELE.

Powiedzieliśmy już, że w r. 1370 będącym zarazem datą śmierci Kazimierza Wgo, miasto zostało opasane murem i basztami. Od południa i północy dwie wjezdne bramy prowadziły do środka grodu i pierwszą nazywała się Opatowską druga Radomską. W środku rynku znajduje się ratusz z wyraźnym rokiem 1576 zapewne datą jego wykończenia, chociaż powszechna uwaga zwróconą ówczas była, na zjazd elekcyjny po ucieczce Henryka Walezjusza i działania koła rycerskiego pod Warszawą. Na zajmowanie się więc budynkami nie było wiele czasu. Na początku tego roku ogłoszony został królem Stefan Batory wbrew życzeniu wszystkich niemal senatorów tak świeckich jak duchownych, silnie stojących po stronie domu rakuzkiego.

Do najstarożytniejszych budowli należy kościół Ś. Ducha ze szpitalem, mieszczący się na przedmieściu. W opisie starożytnéj Polski nazwany został *odwiecznym*, i niezawodnie jest takim zważywszy prostotę jego architektury. Że zaś kościół przy rynku stojący, wybudowany został w roku 1606 przez Marcina Szyszkowskiego przełożonego parafji, a Iłża od niepamiętnych czasów będąc miastem, musiała mieć i świątynię, na pewno więc można wnosić, że kościół Ś. Ducha był wymurowany najpóźniéj za czasów Kazimierza Wgo a kto wie czy nie w XIII jeszcze wieku, zaraz po pierwszym wylewie pogaństwa tatarskiego; i że pierwiastkowo drewniany, dziś murowany stoi w tem samem miejscu, gdzie najpierw po zaprowadzeniu chrześcijaństwa został ufundowany.

Pierwszą klęską jaka dotknęła miasto według historycznych dokumentów, był napad tatarski w r. 1241 krwawy ogromny, o którym wspomnienie po dziś dzień utrzymuje się w podaniu zowiąc *drogą Batego*, szlak pochodu jakim posuwała się wówcza

dzicz dążąc do Krakowa. Wylęgła w stepach średniéj Azji, pustych, obszernych przestrzeniach, błąkała się odwiecznie nieznana światu, zajmując się polowaniem, chowem bydła i napadami na sąsiednie ludy. Zwierzchnictwo nad niemi utrzymywały ludy zwane Tatarami, zamieszkujące północne strony państwa Chińskiego, ale żyjąc w ciągłéj waśni ze swemi sąsiadami podzielili się na dwie połowy i część więcéj ku północy wysunięta pozostała w miejscu, a druga połowa bliżéj sąsiadująca z Chińczykami ruszyła w stepy Azji, napełniając powietrze wojennemi okrzykami. Wnet też mongolskie ludy pomięszały się z tatarskiém plemieniem i utworzyło jedno państwo, a raczéj wojowniczą i koczowniczą hordę, któréj zwierzchnictwo po śmierci ojca objął Temuczyn, znany pod nazwiskiem Czyngishana. Uważając się za posłannika Bożego przeznaczonego na zawojowanie całego świata, chytry, przewrotny, pochlebiający i okrutny, uruchomił cały naród zamieniając go w wojsko, i dzieląc na dziewięć głównych obozów. Różnokolorowe namioty w nieprzeliczonéj liczbie, okryły puste dotąd stepy Azji, a Temeczyn patrząc na krocie przepełniających je wojowników, przysiągł dzielić z niemi wszelką dolę jaka wypadnie, złą i dobrą, byle razem z nim dążyli do jednego celu. Wtenczas to zjawił się w hordzie jakiś prorok uważany za świętego, głoszący Temuczyna posłannikiem Boga, mającym objąć władzę nad całym światem i w dowód tego przezwał go wielkim hanem czyli Czyngishanem. Odtąd rozpoczęły się straszne wyprawy Czyngishana, który gdzie się tylko zjawił, wszystko równał z ziemią, niszczył, palił, do meczetów wjeżdżał konno i druzgotał zarówno bałwochwalstwo, wyznanie Buddy i Bramy jak i godła chrześcjańskiéj wiary. Odparty od Chin wyruszył jak burza ku Kaukazowi; przestraszona ludność z całem mieniem i rodzinami zaczęła uciekać ku Rusi, Czyngishan poszedł w pogoń i dotarł hordami swemi aż do Dniepru. Tu zatrzymał się i potem znikł równie nagle jak się zjawił obiecując w krótce ponowić wyprawę. Ale śmierć przypadła we trzy lata po napaści Rusi w r. 1227, zamiaru tego nie pozwoliła mu przyprowadzić do skutku.

Następca jego Oktaj syn Czyngishana, wiedziony tą samą co ojciec żądzą niszczenia jednemu ze swoich krewnych, Batemu dał trzykroć stotysięcy wojska i puścił na wyprawę ku północnym brzegom kaspijskiego morza. Zaraz też wsie i grody zamieniały się w kupy popiołów, padł Razań, Moskwa, Włodzimierz, Czernichów, Kijów, a Baty idąc w ślad za uciekającą ludnością, ruszył r. 1240 ku Węgrom i Polsce dzieląc swą hordę na trzy oddziały zwane zwykle zagonami. Jeden wyruszył prosto na Multany i Siedmiogród, dwa zaś drugie oskrzydlając Polskę, miały razem z pierwszym złączyć się w Węgrzech. Po spaleniu Lublina nawała tatarska posuwając się ku Sandomierzowi, potrąciła o Iłżą, i miasto zaświeciło łuną pożaru, przerażeniem napełniając pochowanych w lesie mieszkańców. Posuwając się daléj ku zachodowi, dzicz tatarska doznawszy dzielnego oporu pod Lignicą, zwróciła się ku Węgrom i był to już najdalszy punkt ku zachodowi do jakiego w napaści swéj dotarła, nie ośmielając się potem nigdy do podobnie dalekiéj wyprawy.

Po tym pierwszym napadzie Iłża widać zaczęła wzrastać w zamożność i stroić w murowane domy, kiedy w lat sto potem uznano za właściwe wybudowanie obronnego na górze zamku i otoczenie miasta samego silnym murem. I w pomyślności téj szła przez długie lata nawet wieki, zaludniając się pracowitemi rzemieślnikami szczególniéj tkaczami, sukiennikami i garncarzami. Ci ostatni mianowicie korzystając z grubych pokładów gliny i obfitości drzewa wyrobami garncarskiemi niemałéj nabyli wziętości, tak dalece że nie tylko zasłynęli w całym kraju, ale towar swój wysełali na handel zagraniczny do Gdańska i Szwecji. Wszystko to niemało się przyczyniło do wzrostu miasta, ale przyszło nieszczęśliwe panowanie Jana Kazimierza i trzy klęski jedna po drugiéj spadły na mieszkańców oddanych przemysłowi fabrycznemu i karczunkowi przyległych lasów. Klęski te rozpoczął rok 1655 w ponowieniu zatargów o czczy tytuł króla Szwedzkiego, którego pomimo nalegań stanów koronnych, zrzec się nie chciał ani Zygmunt III ani następujący po nim synowie Władysław i Jan Kazimierz.

W tym to czasie, zawarty rozejm ze Szwecją kończył się, królowa Krystyna ustępowała tronu ciotecznemu swemu bratu Karolowi Gustawowi, trzeba więc było zawrzeć nową umowę, aby chociaż z téj strony być wolnym od niebezpieczeństwa. Zaraz więc z wiosny roku 1655, wysłano poselstwo do Stokholmu, ale Karol Gustaw trawiony żądzą sławy wojennéj, czynny, śmiały i przedsiębierczy, zakreślając obszerne plany swemu działaniu, z wysłannikami nie chciał nawet wchodzić w układy i wydawszy manifest wykładający powody skłaniające go do rozpoczęcia wojny, polecił Wittembergowi wkroczenie z wojskiem w granicę Rzeczypospolitéj.

Wkrótce za nim zjawił się w Wielkopolsce i sam Karol Gustaw i wspierany zyskiwaniem dla sprawy swéj coraz więcéj stronników, posuwał się daléj i dnia 8 Września zajął Warszawę. W obronie Jana Kazimierza stanął z kwarcianem wojskiem Lanckoroński i Czarniecki, i w okolicy Opoczna, Sulejowa, Inowładza i Straszowéj Woli, zaszły potyczki i wzajemne uganianie się, w czasie których wpadłszy Szwedzi do Iłży zrabowali ją i obrócili w perzynę.

W roku następnym 1656, zaledwie mieszkańcy poklecili sobie jakie takie budynki, aby w nich mogli przemieszkać zimę, gdy zostali dotknięci nową klęską od chorągwi kwarcianych, za zaległy żołd, z klucza Iłżyckiego jako należącego do biskupów Krakowskich.

Kiedy i ta biéda przeszła, rozeszła się wiadomość w następnym roku 1657 o wkroczeniu Rakocego księcia Siedmiogrodzkiego, w zamiarze objęcia tronu, do którego głosił że został zaproszony. Siła jakiéj przewodził była bardzo groźną, bo składała się z 40,000 Węgrów, Wołochów, i innych narodowości wytrawnych w boju i przyzwyczajonych do obozowego trudu. Zająwszy Kraków, Rakocy posuwał się daléj rozszerzając wszędzie rzeź i zniszczenie. Pod Końskiemi zeszedł się z Karolem Gustawem i wtenczas armja ich wynosiła 70,000 zbrojnego ludu. Tam to ponowiony został układ zajęcia całego kraju, z którego Małopolska, Ruś i Mazowsze miały należyć do Rakocego i tam także król Szwedzki miał się gorszyć wielce niekarnością wojsk Rakocego i zniszczeniem jakiego się dopuszczały. W rozwoju dalszych czynności Rakocy wszedł do Iłży, a pewny znakomitych zdobyczy, z jak największą pilnością rozwinął poszukiwania jakoby ukrytych skarbów, które do reszty zniszczyły miasto dwoma poprzedniemi klęskami dotknięte.

W lat potem sto niespełna w r. 1744 zgorzało znowu miasto co ponowiło się powtórnie w r. 1831 i skutkiem tych zniszczeń Iłża zrównała się z innemi miasteczkami, z przemysłu fabrycznego zatrzymując tylko wyrabianie garnków i garnuszków, po dziś dzień ciesząc się ich wziętością. Wszystkie te klęski jakie dotknęły miasto, są wypisane na dwóch kamieniach wmurowanych w zewnętrznéj ścianie kościoła, z których jeden powiada że jak pożar Troję, tak w r. 1744 zniszczył Iłżę, dzieło wieków, w przeciągu trzech godzin: na drugim zaś wymienione są wszystkie inne klęski począwszy od napadu Tatarów, aż do przybycia Rakocego to jest do r. 1657.

Niegdyś Iłża zamieszkałą była przez samych tylko chrześcjan dziś żydzi prawie przeważną część ludności stanowią. Widać że położenie miasta otoczonego strasznemi lasami przepełnionego dzikim, drapieżnym zwierzem, i dzikszemi od niego rozbójnikami, odstręczało synów Izraela od osiedlenia się w miejscu, tak niebezpieczném dla ruchu handlowego. Ze wstrętu tego miasta korzystając, długo niedopuszczało obcych wyznaniem przybyszów, ale z postępem czasu i bramy Iłży otwarły się gościnnie na ich przyjęcie. Dziś więc cały rynek roi się handlującemi Izraelitami, mieszczanie zaś w zaułkach i bocznych ulicach, prowadzą daléj uprawę roli i garncarstwo, które dla braku obrotowego kapitału, spychane z dnia na dzień, mały daje zysk fabrykantom, a wielkie procenta udzielającym forszuse.

---

* * *

Nie znam piękniejszéj uroczystości religijnéj w Warszawie obchodzonéj, jak Święto Zmartwychwstania Pańskiego. Stolica nasza w pobożności nie ustępująca żadnemu innemu miastu, już od wielkiego Piątku inną niż zwykle przybiera postać, i rojna przy nawiedzaniu grobów Zbawiciela przez cały Piątek i Sobotę, w pierwsze Święto otacza się niezwyczajną ciszą, powtarzającą się w ciągu roku raz jeden jeszcze w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Ale i w dnie te choć tak bardzo uroczyste, cisza ta bardzo jest krótko trwałą, bo jeszcze przed południem, tu i owdzie odezwie się trajkot bryczki lub powozu, a od godziny pierwszéj, jazda rozpoczyna się na piękne, i z całem niemiłem zamięszaniem, wrzawą i tumultem wraca rumot uliczny bębniący i świdrujący w uszach. Pierwsze jednak połówki dni tych świątecznych, ciszą swą górując po nad całorocznym zgiełkiem, są niezmiernie miłą niespodzianką dla Warszawy o jakiéj wieśniak nie ma nawet wyobrażenia. Jeśli do tego posłuży jeszcze pogoda, z majestatycznie na niebie jaśniejącem słońcem, pokażą się trawki, błyszczące pączki na drzewie, a w powietrzu rozejdzie się woń wiosennego życia natury, to Warszawa ma gody nad godami, i wymodliwszy się, na winszowawszy, ucztuje i świętuje z nieznaną dniom innym zapalczywością.

Tego roku zapewne pogoda posłuży, a czas wielki na to, bo już Maj zapasem, którego początek zwykle bywa końcem siewów wiosennych. Powiadają że na wsi roboty w polu dopiero po Świętach rozpoczną się na prawdę, bo jeszcze rola nie puściła do gruntu. Warszawa szczęśliwsza pod tym względem, już od tygodnia używa przechadzki po suchych chodnikach Saskiego ogrodu, nadsłuchuje szczebiotu ptasiego i przygląda się spienionym nurtom Wisły, po któréj kilka temu tygodni, pieszo przechodziłem od brzegu do brzegu, zapadając się w niektórych miejscach w śniegu po kolana. Wróżebne gminne przypowieści twierdzą, że jeżeli pola zielone gdy się Chrystus rodzi, to na Zmartwychwstanie śnieg z mrozem robocie przeszkodzi. O ile pamiętam Boże Narodzenie mieliśmy suche, mroźne i pogodne, Wielkanoc więc powinna być ciepła i zieleniejąca się w polu i na łąkach. Wróżba zatem sprawdziła się na wielką pociechę naszych rolników, a wpadłszy na przedmiot tak ważny w gospodarstwie wiejskiém, przytoczę Wam tu wyjątek z Korespondencji z Jadryna Gub.

Saratowskiéj, bardzo ciekawéj i zajmującéj, należącą w części do działu agronomicznego.

Mieszkańcy tutejsi, powiada p. W. B. są ludzie spokojni a w rolnictwie zupełnie nie przedsiębierczy. Posiadają ziemię tak bogatą, tak urodzajną, że lada robotę wynagradza obfitym plonem. Cudów możnaby tu dokazać, lepiéj w gruncie zarobiwszy. Tak pięknéj ziemi, takich pastwisk, traw, białych rodzinnych koniczyn, nie widziałem nigdy. Tu w gruncie lepiéj i obficiéj rodzą się kawony jak u nas ogórki; są też latem po gr. 15 sztuka, kapusta zaś, marchew, rzepa, buraki, wyrastają jak olbrzymy. Narzędzi do uprawy, używają bardzo prostych jakiemi podobno nasz rodzic Adam, pierwszy zaczął skrobać ziemię. Krowy w ogóle mają bardzo piękne, z kształtu a nawet z maści do holenderskich podobne. Dają mleko nadzwyczaj tłuste i wybornego smaku, zapewne skutkiem nieporównanych pastwisk. Chodzą wolno, nie znają uwięzi, i więcéj mają naturalnego sensu jak nasze. Na pastwisko wychodzą same, wracają same i przy dojeniu stają na podwórzu spokojnie. Jeżeli jaka sztuka nie wróci z pastwiska do domu, właściciel ani się turbuje o nią, ani nie bieży broń Boże szukać, ale powiada,

— „Ha! nie przyszła dziś, to przyjdzie jutro lub pojutrze.“

I rzeczywiście tak się dzieje. Owce, barany to samo obchodzą się bez pasterza. Jakiś tam z najpopularniejszych baranów idzie rano przez miasto i beczy, do niego wyłażą drugie, robi się gromada, stoi i beczy znowu. Do téj gromady złażą się jeszcze jakieś marudery, pobekując, po czem dwóch albo trzech promotorów beknąwszy basem, idą, a za niemi całe to plebs różnéj płci i wieku, posuwa się, podskakując, dyrdając, kręcąc ogonkami i ciągnie na paszę, a gdzie? ha! tam gdzie najlepsza.

Klimat tutejszy jest bardzo dobry, piękne gorące lato i tęga, śnieżna, siarczysta zima, mimo tego na taki klimat zgodziłbym się u nas. Ziemia przy największéj ścisłości, ma własności przepuszczania wilgoci i po każdym deszczu wkrótce obsycha. Drogi rzadko rozmakają, nigdy jednak nie ma błota wielkiego ani kurzawy i jedzie się jak po klepisku. Kraj górzysty, jazda odbywa się szalenie prędko, mężczyzni mają cerę ceglastą i głęboko zapadłe oczy, a kobiéty ubierają się jak eskimosy.

PO BURZY.

A jam pytała: lilijko biała
Czemu Ci burza listki rozwiała?
Czemu twa śliczna śnieżna korona,
Od mroźnych wichrów pada zwiędniona?
Czemu tam na dnie w głębi kielicha
Srebrzy cię łezka a kwiat zasycha?
Bamana lilja główką pochyla...
O życie kwiatka życie motyla,
Życie człowieka, to burzy chwila,
Szczęście człowieka to błysk pioruna,
Zagra boleścią i pęka struna!

Nietulisko d. 20 Sierpnia 1864 r.

Liljana.

List otwarty
OSKARA KOLBERGA.

Zajmując się od lat wielu zbieraniem pieśni, podań i zwyczajów ludu, robiłem w tym celu nie bezowocne po kraju podróże, gdyż podróże te, nagromadziły już do mojéj teki mnóstwo nader ważnych szczegółów etnograficznych. Nieprzebrana wszakże ilość ciekawych tego rodzaju zabytków, rozproszonych wszędzie po rozległych kraju błoniach, wskazując pojedynczéj osobie niepodobieństwo bytności w każdym jego zakątku, a tém mniéj zebrania wszystkiego co zebrać można, wymaga udziału w téj czynności i innych osób, a w szczególności pomocy łaskawych współobywateli, która z łatwością udzielaną by mi być mogła, drogą listownego porozumienia się. Pragnienie uzupełnienia podjętych już w tym przedmiocie wiadomości, nabytkami pozyskać się jeszcze mogącemi, ażeby je wszystkie późniéj uporządkowane w stosownem zamieścić dziele i przedłożyć do użytku i dla nauki powszechnéj, niepłonną budzi we mnie ufność, że wezwanie moje, poniżéj skreślone, nie pozostanie bez skutku, i nakłoni szan. obywateli i obywatelki do zwracania na lud uwagi, do spisywania swych spostrzeżeń, a następnie do udzielania mi takowych listownie, choćby cząstkowo i po odrobinie tylko. Z massy pozbieranych w ten sposób, a nawet i bez ładu nakreślonych zapisek, łatwo da się potém ułożyć całość i wypracować obraz ludu ogólny, oczywiście, tém prawdziwszy, doskonalszy i bardziéj wykończony, im więcéj i dokładniejszych dorzucono doń szczegółów. Źródło, z którego wiadomość jakakolwiek nadesłaną mi została, tojest: nazwisko miejsca jéj rodzinnego, oraz nawisko sprawę zdającéj osoby, o ile takowa sprzeciwić się temu nie zechce, z wdzięcznością zawsze wymienione będą.

Do przedmiotów, na jakie wszechstronną zwrócić baczność uprasza się, należą:

1) Wieś i chata. Opis szczegółowy i nazwa w mowie ludowéj (jéśli istnieje) części jéj zewnętrznych i wewnętrznych, mianowicie ścian, węgłów, dachu, drzwi, okien, strzechy, sieni i przedsionka, izby, ko-

mory i znajdujących się tu części, sprzętów i naczyń, a zarazem podwórza, studni, płotu, ogrodu, różnych budynków gospodarskich, jak: stodoły, obory, chléwa i t. d. z wykazaniem, z jakiego drzewa każda rzecz się obrabia. Oczywiście, typ tu stanowić ma najdawniejszy i najpowszechniejszy niegdyś sposób stawiania, o ile się zachował. Do opisu przydałby się i rysunek, plan lub widok. Jakie są zwyczaje przy budowaniu lub zwaleniu chałupy; jakie zabobony?- (może podania lub zaklęcia w narzeczu ludowem). Jakie są ulice wioskowe i jakie chat rozpołożenie względem siebie i ulicy. Jakie kościoły, cmentarze i ogrodzenia?

2) Praca i zajęcia domowe i gospodarskie wieśniaków. Jaki pod tym względem tryb życia? Przysłowia. Wady i nałogi (powiastki o tém). Cera ciała i barwa włosów. Charakter ludu; jego skłonności i temperament. Sposób myślenia i ruchy.

3) Żywność. Co zwykle jadają i pijają? O jakiéj porze, wiele i przy jakich ceremoniach lub zabobonach?

4) Ubiór mężczyzn, kobiet i dzieci, odświętny i codzienny. Materja. Krój i koszt krawieczczyzny i materjału. Ozdoby i barwa. Czy był dawniéj inny ubiór i jakim ulega odmianom?

5) Mowa czyli narzecze prowincjonalne. Jéj właściwości i odmiany gramatyczne (niezwykłe). Sposób wymawiania i wysłowienia się miejscowy. Wyrazy oryginalne (prowincjonalizmy) tam używane lub obce przyswojone. Próbka takowéj mowy. Słowniczek miejscowych wyrazów.

6) Przysłowia, zdania, bajki, powiastki, klechdy, legendy, podania i t. p. o ile możności (lubo nie koniecznie) w mowie potocznéj, miejscowej, oddane.

7) Zabobony, gusła (zaklęcia), przesądy (lekarskie myśliwskie, pasterskie, o zwierzętach i ptakach, karczemne, domowe, gospodarskie i t. p.), dykteryjki o czarach, diabłach, czarownicach, wiedźmach, upiorach, strzygach, zmorach, wilkołakach, duchach i duszach pokutujących. Przesądy odnoszące się do pór roku, klimatu, zasiewu, zbioru, przy dożynkach, weselu, chrzcinach i pogrzebach.

8) Pieśni, o ile możności z nutą, a choćby i bez niéj, oddane mową miejscową. Pieśni nabożne i dziadowskie.

9) Tańce. Opis tychże i nuta jeśli można.

10) Obrzędy, mianowicie:

a) Wesela, szczegółowo ze wszystkiemi opisane ceremoniami, igraszkami i żartami. Jakie przy tém stroje, przystrojenia i ozdoby (młodéj pary, gości, wozów, koni, naczyń i t. d.), pieśni, muzyka, tańce, przygotowania młodych, druchen i rodziców, oświadczyny, zaprosiny, zaręczyny, mowy, rozplatania warkocza, ślub, zabawa w karczmie, oczepiny, uczty, podarunki, pożegnanie; jak długo, kiedy i u kogo co się odbywa? Posag czyli wiano. Koszta wesela.

b) Chrzciny. Zaprosiny. Przybycie kumów i ich wzięcie się. Uczty. Śpiewy. Sposób postępowania z dzieckiem. Jego wychów.

c) Pogrzeby. Ubranie ciała lub mycie. Zwyczaje (zabobony) zaraz po śmierci nieboszczyka tak w chacie jak i przed nią, i przy wyprowadzeniu z niéj ciała przyjęte, oraz nad grobem. W jakiéj assystencji, liczbie i w jaki sposób ciało prowadzą? Śpiewy i mowy. Stypy. Koszta. Z jakiego drzewa trumna?

d) Sobótki, zapalane w wigilią św. Jana i na Zielone Świątki. Pieśni sobótkowe. Zwyczaje.

e) Obchód różnych świąt uroczystych i Niedziel w ciągu roku. Kolędy, szopki, zabawy mięsopustne, przebierania się i t. p. Wielkanoc. Gaik, kogutek, konik i t. p. z pieśniami. Zabawy i przesądy w dni obchodu pamiątki różnych św. Pańskich.

f) Dożynki. Zwyczaje w czasie żniw w polu. Sposób żęcia i czas jego. Zwyczaje w czasie ich rozpoczęcia i zakończenia. Jakiego kształtu wiją wieniec i z czego? Kto go przynosi do dworu i przy jakich ceremonjach? Jakie przytem koncepta i zabawy? Toż przy siewie zboża.

11) Zwyczaje i piosnki przy różnych zatrudnieniach, jak: przy lnie i przędzeniu, kośbie, sianożęci, pasterstwie, robotach gospodarskich i rzemieślniczych (młocce, órce, bronowaniu, praniu bielizny, dojeniu, kołysaniu dzieci, przy kowalce, ciesielce, ścinaniu drzewa, zwózce chrustu, gnoju i t. p. Wieczorne pogadanki (w zimie i w lecie), hulanki w karczmie i domu, zalecanki, zwyczaje na jarmarkach, przy targu i różnych umowach, przy stosunkach z bydlętami (wołami, końmi, owcami, drobiem i t. d.)

Do wszystkich tego rodzaju wiadomości, nader pożądanemi byłyby i rysunki, (gdzie się nadają) i, o ile takowe pozyskać się dadzą.

Te i tym podobne szczegóły, skrzętnie zebrane, wierny daćby mogły obraz ludu naszego, wedle każdéj miejscowości rozmaicie się przedstawiający. Sądzę, że gdy dorzucenie cegiełki do dzieła tyle użytecznego i narodowego bardzo jest rzeczą chlubną, a praca ta mozołu wielkiego nie wymaga, więc szanowni obywatele zechcą zwrócić uwagę na powyższą prośbę i zasilać mnie zebranemi przez siebie materjałami, na jakich przy dobréj woli i chęci w poszukiwaniach, z pewnością w okolicy ich zbywać nie będzie.

ROZMAITOŚCI.

Utopja. Tak się zwało dzieło Tomasza Morusa wydane przy końcu XVI wieku, poświęcone naganie upowszechnionych podówczas nadużyć. Autor wprowadza na scenę podróżnika Rafała, osobę zmyśloną, i prowadzi z nim rozmowę o nieszczęściach rodu ludzkiego. Rafał już wówczas zwolennik przyszłych zasad Saint-Simona i Touriera, wszystko złe przypisuje własności, i pobijany rozumowaniem, opowiada o kraju zwanym Utopją, w którym zupełnie nieznaną jest własność prywatna, stół i ruchomości są wspólne, to samo ziemia, a wszystkie urzędy zależą od wyborów. Nikt jednak w téj wymarzonéj Rzeczypospolitéj, nie jest wolnym od pracy, każdy musi zajmować się rolnictwem i umieć jakieś rzemiosło, każdy znajduje pomoc i opiekę, tylko próżniacy bez litości wyganiani bywają ze społeczeństwa. Pomoc ta i opieka do takiego stopnia są rozwinięte, że śmiertelnie chorującym, zwierzchnik trzydziestu rodzin obowiązany jest podać napój łagodzący, czyli truciznę, ułatwiającą mu przejście do lepszego żywota: znudzonym zaś małżonkom dozwala rozłączyć się, i szukać dla siebie wzajemnie milszych związków. Mimo tego niewiara małżeńska nader srogiéj ulega karze; za pierwszym razem przestępca staje się niewolnikiem, za drugim razem spotyka go kara śmierci, w tym tylko jednym wypadku postanowiona.

Każdy zmuszony do codziennéj przez sześć godzin pracy, obowiązany jest w chwilach wypoczynku słuchać wykładu kursów publicznych, i dlatego ludzie zdolni do nauk, od wszystkich ręcznych zajęć są uwolnieni. Żeby zniszczyć wszelką żądzę złota, z kruszczu tego są wyrabiane kajdany i kolczyki dla złoczyńców, jako piętno ich zbrodni.

Śmieszna to księga, dzieło czystéj wyobraźni, jakkolwiek pełne jest śmiesznych wybryków, świadczy jednak że złe było znane i że szukano środków poprawy, a chociaż praca ta mało dziś jest znaną, widać jednak że w swoim czasie musiała narobić wiele chałasu, kiedy nazwisko téj wymarzonéj Rzeczypospolitéj przyswojone zostało w różnych językach na oznaczenie zamiarów niewykonalnych lub będących prawdami nie w porę objawionemi.

Kronika literacka.

Agamemnon tragedja Aischylosa przekład Józefa Szujskiego. Kraków 1865 r.

Może Czytelniczki nasze nie są dość przywykłe do dzieł tak poważnych jak Eschylesowe (Aischylos) tragedje, lecz upraszamy ich aby na ten raz zechciały się pogodzić ze starożytną literaturą, przekład bowiem Szujskiego gusta najbardziéj wymagające piękna, zadowolić może. Różni się on od dawniéj wykonanych przez pp. Węclewskiego i Małeckiego tem, że odzwierciadlając starożytnego ducha, niezrównaną powagę i harmonją, oddaje to wszystko środkami dzisiejszéj poezji właściwemi. Dla tego też czytać ją może z wielkim zajęciem każdy. Jak wiadomo Agamemnon wódz greków w wyprawie Trojańskiéj, zamordowany został przez Egistusa, przez co spełniła się na nim klątwa ciążąca na całym rodzie od protoplasty Tantala aż do dzieci Agamemnona, Orestesa, Ifigenii, Elektry, których smutne losy dostarczyły tragikom Greckim wątku do tylu cudownych utworów. Agamemnon Eschylusa jest pierwszą tragedją trylogji zwanéj *Orestesaz*, gdyż jak wiadomo starożytni pisarze zawsze w potrójną liczbę tragedji, zamykali jakoś całość dziejową czy moralną. Przekład Józefa Szujskiego najznakomitszego z obecnie piszących poetów, odznacza się niezmierną pokrewną potężnéj indywidualności Eschylusa, siłą oraz pięknością języka. Szkoda tylko że niedodano komentarza stosownego, ku czemu była wszelka łatwość, czerpiąc z dzieła Welckera a ogółowi czytelników uczynionoby niemałą przysługę, ułatwiając zrozumienie nie jednego miejsca téj piękněj pracy.

Korrespondencja z Paryża.

Paryż dnia 6 Kwietnia 1865 r.

W tych dniach widzieliśmy piękny dobór, wiosennych kapeluszy, okrywek i sukien, zakupionych przez panny Kuhnke. Z pomiędzy kapeluszy zwróciły uwagę naszą kapelusze zwane *Empire*, z czasów pierwszego Cesarstwa. Główka u nich podniesiona w górę, może pomieścić warkocz, który wyżéj się teraz wiąże. Śliczny był między innemi taki kapelusik biały włosianny, z główką *à jour* podwleczoną koronką czarną. Z tyłu spadały czarne barby, przytwierdzone wielką różą, z liściami. Podpięcie składało się z aksamitu zielonego, przekręconego szklannym łańcuszkiem.

Ładne też były kapelusiki w kształcie fanszoników czyli chusteczek, naszyte całe stalkami lub rosą. Na warkocz spada zwykle woalik illuzjowy, lub też dwie długie i szerokie szarfy. Odznaczał się gustem fanszonik biały z tiulu jedwabnego przybrany konwalją, nad czołem i w miejscu karczka. Inny fanszonik włosiany, miał przez środek przeciągniętą kilka razy lilla wstążkę naszytą raz koło razu białemi stokrotkami. Takież stokrotki stanowiły podpięcie nad czołem. Inny znów fanszonik słomkowy przybrany był wstążką niebieską. Podpięcie całe tak nad czołem jak i po bokach, składało się z krepy tegoż koloru.

Okrągłe kapelusiki, wyboru panien Kuhnke, odznaczają się prawdziwie dobrym gustem. Uważaliśmy trzy odmienne rodzaje pomiędzy niemi. Naprzód kapelusiki Szkockie bez daszka podniesione w górę z przodu, z tyłu zaś spadające do warkocza, przybrane były aksamitem czarnym ze stalą, kitką lub ptakiem rajskim. Bardzo też używany do nich, ptak *Condor*, z dwoma długiemi i płaskiemi piórami.

Drugie kapelusiki, zwane *chapeaux Amazone*, z maleńkim daszkiem z białéj ryżowéj lub angielskiéj słomy, przybrane były podobnie do poprzednich.

Trzecie z odwijanym rondkiem odznaczały się gustem i oryginalnością. Z boku jednego, pod rondkiem przechodzi do główki klapa aksamitna czarna, naszyta stalkami, przytwierdzona pęczkiem piór. Z pod niéj wychodzą kłosy naturalnego koloru.

Z pomiędzy okrywek najwięcéj było czarnych jedwabnych paletotów, zalecających się wielką rozmaitością. Wszystkie w ogóle bardzo krótkie. Jedne puszczane, układane z tyłu we dwa lub cztery fałdy, drugie wcinane mniéj więcéj do stanu, niektóre nawet przepasane z wierzchu pasem. Najwięcéj z pomiędzy nich przybrane były pasmanterją, przetykaną stalowemi lub lawowemi paciorkami. Szczególną zwracały uwagę paletociki ozdobione pletnią, puszczoną lekko od ramienia do przodu, rękawy przybrane były odpowiednim epoletem.

Oprócz paletotów, uważaliśmy także beduiny jedwabne naszyte pasmanterją, i wełniane szare, z frendzlą Angora, i takiemiż kwastami.

Przejdźmy teraz do sukien, które panny Kuhnke, kazały robić na model w pierwszych magazynach Paryzkich, opiszemy je tu szczegółowo.

Suknia zwana *Pompadour*, z materji w paski, fijołkowéj z czarną, miała u dołu szeroką falbanę ukośną. Nad nią szła rusza czarna, wystrzygana w maszynie. Stanik miał baskinę równą, zachodzącą od tyłu do boków. Przód z podwójnym bawecikiem, spięty na guziki tworzył jakby kamizelkę. Baskina równie jak pacha i mankiet u rękawów, obszyte były ruszą. Rękawy obcisłe zupełnie przystawały do ręki.

Inna suknia z alpagi *chamois* miała spódniczkę nafałdowaną w cztery wielkie kontrafałdy. Nad obrębem, tworzyła szlak wąziutka aksamitka czarna, naszyta kilkakrotnie raz koło razu. Szlak ten odwrócony w górę z obu stron dochodził do stanika. Oprócz tego, z tyłu po obu stronach środkowego fałdu, naszyte były w podłuż dwa takież same szlaki. Stanik gładki do paska, miał kołnierzyk naszyty cały aksamitką. U rękawów był mankiet z odpowiednim szlakiem odwróconym w kant aż do łokcia. Epolety i pasek, naszyte również aksamitką dopełniały całości.

Trzecia suknia popelinowa, koloru szarego, miała spódniczkę, wyciętą w wązkie a długie zęby, objęte białą i czarną wypusteczką. Paletocik spięty na guziki czarne, rozcinany u dołu tworzył siedm klap powystrzyganych w takież zęby. Rękawy z mankietem odwróconym do łokcia odpowiednio były przystrojone.

Czwarta suknia jedwabna czarna przybrana była od dołu, w cztery wielkie piramidy, złożone z podwójnego rzędu falbanek i pasmanterji. Rękawy i stanik odpowiednio naszyte były pasmanterją.

Piąta nakoniec suknia, przeznaczona dla młodéj osoby składała się ze spódniczki w jasno szafirowe i białe paski i z białego muślinowego staniczka. Spódniczka miała nad obrębem trzy pliski szafirowe, zakończone w górze czarną aksamitką. Od czarnego paska spadał karoczek taki sam jak suknia objęty w koło pliskami i aksamitką.

Z pomiędzy czepeczków, podobały nam się szczególniéj śliczne fanszoniki zasiane całe fijołkami, i wązkie katalanki, zachodzące na czoło, z tyłu zaś spadające na warkocz, ubrane w najrozmaitszy sposób, aksamitką stalą i kwiatami. Zasługują też na uwagę potrójne opaski greckie na głowę, zwane *bandelettes* ozdobione kwiateczkami, stalą albo lawą.

Oprócz tego panny Kuhnke, zakupiły mnóstwo woalek i barbek ze stalą, pasów szerokich naszywanych blaszkami, klamerek złotych i stalowych, albo z konchy perłowéj. Wszystkie te przedmioty odznaczają się prawdziwie dobrym gustem.

Opis deseni do haftu.

N. 1. Szlak do chustki od nosa na haft atłaskowy.

N. 2. Połowa kołnierzyka z dubeltowego płótna.

N. 3. Mankiet do zapinania na spinki. Garnitur taki kosztuje złp. 15.

N. 4. Rożek wykładany do kołnierzyka stojącego.

N. 5. Mankiet.

N. 6. Połowa kołnierzyka z dubeltowego płótna z haftowanym narożnikiem na muślinie. W tém miejscu gdzie przypada muślin haftowany, płótno się wycina zupełnie a narożnik przystebnowywa się brzegiem do kołnierzyka.

N. 7. Mankiet z dubeltowego płótna z deseniem haftowanym na muślinie pojedynczym.

N. 8 i 10. Narożniki w odmiennym guście do kołnierzyka powyżéj opisanego.

N. 9 i 11. Desenie do mankietów. Garnitur taki kosztuje od złp. 8 do 12 stosownie do haftu i gatunku płótna.

N. 12. Narożnik do chustki od nosa nad gładkim obrębkiem, odpowiedni do kołnierzyka i mankietów.

N. 13. Ząbki do falbanek.

N. 14. Szlak z narożnikiem do chustki od nosa.

N. 15. Deseń do ściegu przewłóczonego i atłasku.

N. 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22 i 23. Desenie do falbanek, koszul damskich i kaftaników.

N. 24. Alfabet do znaczenia bielizny białą i pąsową bawełną.

N. 25. Litery J. H. do znaczenia poszewek i prześcieradeł.

N. 26. Warkocz do noszenia nad czołem zwany: *Coiffure diadème*. Warkocz taki kosztuje złp. 66 gr. 20.

Opis kaftanika greckiego, bluzki kaszmirowéj i sukienki dla chłopczyka trzechletniego.

N. 1. Przednia część kaftanika greckiego z czarnego rypsu jedwabnego, przybrana aksamitem, stalowemi albo czarnemi perełkami i grelotkami. Ozdoby aksamitne przyszyte jedwabiem ściegiem łańcuszkowym. Deseń może być także naszyty na samym kaftaniku bez aksamitu.

N. 2. Boczek.

N. 3. Połowa pleców. Plecy krają się w całości.

N. 4. Połowa rękawa.

N. 5. Całość kaftanika greckiego.

N. 6. Druga strona kaftanika greckiego. Pod spód kładzie się zwykle biała muślinowa bluzka, opasana szerokim pasem morowym albo rypsowym. W magazynie pani Sobolewskiéj kaftaniki takie obszyte stalową albo koralową frendzelką kosztują po złp. 133 gr. 10.

N. 7. Przednia część bluzki z materji jedwabnéj albo kaszmiru białego, naszyta bardzo wązką aksamitką lub galonkiem tureckim. Na każdym boku po zeszyciu przodu z plecami, układa się kontrafałd.

N. 8. Połowa pleców. Plecy krajane w całości fałdują się w stanie jak napis wskazuje i przyszywają do paska, który się zapina na haftki. Powyżéj dany jest pod spodem pasek, aby się plecy nie rozchodziły zbytecznie.

N. 9. Połowa rękawa. Tak bluzka jak i rękawy podszyte powinny być muślinem.

N. 10 *a*. Kołnierz stojący złożony z dubeltowego paska kaszmirowego. Po obu stronach kołnierzyk naszyty wązką aksamitką.

N. 10 *b*. Pasek do którego się bluzka przyfałdowywa w stanie.

N. 10 *c*. Pasek do pleców.

N. 11. Całość bluzki kaszmirowéj. Bluzki muślinowe lub półbatystowe krają się tym samym fasonem, zdobiąc je na przodzie wstawką haftowaną i zakładkami.

N. 12. Przednia częśćstanika do sukienki dla chłopczyka 3ch letniego zapinana na guziki lawowe albo ze stali.

N. 13. Boczek.

N. 14. Połowa pleców. Plecy krają się w całości.

N. 15. Połowa kołnierzyka, ktory się również kraje w całości i obszywa wypustką.

N. 16. Połowa rękawa.

N. 17. Mankiet do rękawa.

N. 18. Całość sukienki. Pod stanik daje się popielata dymowa podszewka, pod spódniczkę muślin sztywny. Materjał najczęściéj na sukience bywa z bronzowój gładkiéj albo w szkocką kratę popeliny, w takim razie cała sukienka krajana jest skosno. Spódniczka powinna mieć $2^1/_2$ łokcia szérokości, 38 centymetrów długości i ułożona w kontrafałdy przyszywa się do stanika. Pasek na trzy palce szeroki i dostatecznie długi, żeby go związać można na węzeł, obszyty u dołu jedwabną frendzlą w dwóch kolorach, jeżeli wyrób jest w kratkę. Sukienka taka w magazynie pani Sommerfeldowéj kosztuje złp. 40.

N. 19. Zęby do wykrojenia poszewki, która była przedstawiona na ostatniéj planszy z bielizną.

KORRESPONDENCJA.

Pani Malwinie Pień. Wszystkie sprawunki o jakie się zapytywano kosztować będą z przesyłką złp. 186 gr. 20.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do haftu, oraz formami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Dodatek do Nru 15 Tygodnika Mód

Warszawa dnia 3 (15) Kwietnia 1865 roku.

JOANNA EYRE

POWIEŚĆ

PANNY BRONTE (CURRER BELL)

Z ANGIELSKIEGO.

(*Dalszy ciąg.*)

Nie było nic do zarzucenia jéj rysom, ani kibici, lecz dowcip jéj był bez wdzięku, dusza oschła i chłodna, i nic nie tryskało samo z siebie w tym umyśle całkiem jałowym, nie było tam nawet istotnéj dobroci, bo nie było samoistności. Powtarzała zręcznie myśli podobierane z książek, z własnéj duszy nic wysnuć zajmującego nie umiała. Nie podobna było schwycić w niéj chwili współczucia, iskry zapału; ciasnota pojęcia i oschłość serca okazywały się na każdém kroku, nawet w źle ukrytym wstręcie, jaki w niéj obudzała biedna sierotka Adela. Widziałam nadto z wielką radością, że nie moje tylko oczy śledziły wady téj zalotnéj piękności a pan Rochester za nadto był przenikliwy, aby starając się o pannę Ingram dla jakich bądź widoków, miał się łudzić co do jéj moralnéj wartości. Czegóż mi trzeba było więcéj?

A jednak, te właśnie powody czyniły moje cierpienie trudniejszem do uleczenia. Gdyby Bianka była szlachetną i pełną dobroci istotą, obdarzoną czułością, rozsądkiem i duszą pełną zapału, miałabym wtedy do walczenia z dwoma tygrysami zbrojnemi w mordercze szpony, z rozpaczą i z zazdrością. Ale w ówczas, po walce w któréj by serce zostało mi wydarte, byłabym jeszcze podziwiała współzawodniczkę, a im więcéj bym ją wielbiła, tém prędzéj bym potrafiła odzyskać spokój, i to w sposób stanowczy.

Przeciwnie zaś, przypatrując się co dzień niezręcznym usiłowaniom panny Ingram, musiałam mimowoli zastanawiać się nad sposobem ujęcia i zdobycia na zawsze tego szlachetnego serca... Nie byłże to dla mnie widok pobudzający i niebezpieczny?

Czasami w głębi duszy zarzucałam Rochesterowi zamiar zaślubienia kobiéty, którą czuł z tylu względów niższą od siebie, ale niebawem tłómaczyły go w moich oczach rozliczne powody. Wszakże należał do warstwy społeczeństwa w któréj małżeństwa tego rodzaju były rzeczą najzwyczajniejszą. Czyż do mnie należało sądzić względy którym ulegał? Wreszcie, byłam już do tego stopnia zaślepiona, że uznawałam wszystko co czynił za słuszne i bez zarzutu. W początkach naszego poznania, widziałam jego słabą i korzystną stronę, zdawałam sobie sprawę z jego dziwactw i kładłam je na szali z gruntownemi zaletami jakie posiadał, aby dojść do sprawiedliwego ocenienia téj niezwykłéj duszy. Lecz od niejakiego czasu, bezwzględne pobłażanie nie dozwalało mi już nic w nim dostrzedz niedoskonałego. Szyderstwo i cierpkość, które mnie dawniéj odstręczały, byłyjuż dla mnie ostrą tylko przyprawą wykwintnego dowcipu, któryby bez nich stracił na wartości. Co zaś do tajemnicy unoszącéj się po nad tym duchem dręczonym jakąś obawą, czy téż głębokiem cierpieniem, któréj rozwiązania umiał zawsze unikać, ta nie napełniała mnie już, jak kiedyś, przerażeniem, ale owszem zaczynała nabierać pewnego nawet uroku.

Kiedy po raz piérwszy ujrzałam całą głębię przepaści przedemną się otwierającą, uczucia moje mogły się porównać z wrażeniem jakiego doznaje podróżny, który odważywszy się wstąpić na szczyt wulkanu, czuje z nagła ziemię chwiejącą się pod jego stopami i zapadającą się w otchłań. Dzisiaj zaś, chociaż drżałam jeszcze niekiedy na myśl niebezpieczeństwa, które przeczuwałam, obawa niebrała już we mnie góry; nie myślałam o ucieczce, lecz raczéj o walce z owém niebezpieczeństwem, chciałam mu zajrzéć oko w oko i zazdrościłam pannie Ingram, któréj miało być przeznaczeniem zbadać kiedyś tę duszę, zgłębić ową przepaść i zwiedzić jéj tajemnice.

Podczas kiedy się oddawałam podobnym myślom, ukryta i milcząca w moim kąciku, szczebiotanie naszych gości nie ustawało ani na chwilę, każdy się bawił według swego upodobania. Poważne matrony rozbierały po cichu kwestye należące do ich wydziału, młodzież wyzywała się żartem i spojrzeniem, ludzie dojrzalsi rozprawiali o polityce. Głównemi jednak szermierzami byli zawsze Rochester i Bianka, na których zwracała ciągle uwagę reszta towarzystwa jako na godnych siebie zapaśników.

Pewnego dnia, po południu, nasi goście byli nieco znudzeni, nie było bowiem gospodarza domu zmuszonego wyjechać od rana na kilka godzin. Nie wiedziano co obmyśléć, jaką ułożyć zabawę,

kiedy w tém dał się słyszéć na dziedzińcu tentent koni i turkot powozu.

W jednéj chwili, wszyscy byli u okien. Przed gankiem zatrzymał się właśnie powóz pocztowy. Wysiadł z niego jakiś gentleman, w ubraniu podróżném. Słyszeliśmy jak rozmawiał w sieni ze służbą, i wkrótce potém wszedł do salonu.

— Przybywam wcale nie w porę, o ile mi się zdaje, ponieważ nie zastaję mojego przyjaciela pana Rochester, rzekł zwracając się do pani Ingram, która zdawała mu się zajmować miejsce gospodyni domu; jednakże, po zbyt długiéj podróży odbytéj jedynie w celu zobaczenia się z nim, sądzę że mi będzie wolno zaczekać tu na jego powrót.

Obejście nieznajomego oznaczało człowieka dobrze wychowanego, wymowę miał nieco cudzoziemską, rysy dosyć regularne, lecz bez wyrazu. Zdawał się być w tym samym prawie wieku co Rochester, ale ogromna różnica istniała pomiędzy temi dwoma twarzami. Jedna była twarzą mężczyzny przystojnego, jednak bardzo zwyczajną i pospolitą, druga przeciwnie jaśniała śmiałością, namiętnością i silną wolą.

Nieznajomy oświadczył, że zwał się Henryk Mazon i przybywał z Jamajki, co nam objaśniało zimowe jego ubranie w ciepłym dniu wiosennym. Dowiedziałam się z jego rozmowy, że pan Rochester był kiedyś u niego gościem w Jamajce co mnie niezmiernie zdziwiło, bo nigdy nie zrobił o tém wzmianki w naszych rozmowach, chociaż miał do tego wiele sposobności.

Kiedy się zastanowiłam nieco nad tém przemilczeniem, tak ważnéj okoliczności, może rozmyślném, lokaj poprawiający ogień na kominku, rzekł kilka słów z cicha do pana Eshton, który, nie przerywając sobie czytania *Timesa*, odpowiedział niecierpliwie.

— Powiedz jéj, niech sobie idzie precz, bo ją każę wypędzić.

— O kim że to mowa? zapytało kilka głosów.

— Ot, o jakiejś tam cygance, któréj się zachciało wróżyć tym paniom, odrzekł w tenże sam sposób pan Eshton.

— A czemużby nie? zawołała Bianka, która się lubiła we wszystkiém od drugich odróżniać.

A gdy jéj matka chciała się odezwać, przerwała jéj mówiąc.

— Moja mamo, pozwól... to tylko nas panny obchodzi.

Lokaj spoglądał na pana Eshton, nie wiedząc kogo ma słuchać, ale na wyraźny rozkaz Bianki wyszedł, i wkrótce powrócił oznajmując że wróżka oczekuje w sąsiednim pokoju na osoby chcące jéj zadawać pytania.

Bianka rozpoczęła szereg ciekawych. Po naradzie, która trwała około dziesięciu minut, wróciła milcząca i wyraźnie zakłopotana. Siostra jéj, a potém dwie jeszcze panny poważyły się pójść za jéj przykładem, dodając sobie wzajemnie odwagi. Powróciły z okrzykami przerażenia i podziwu, Wróżka mówiła im rzeczy niepojęte... poznawała każdą, wiedziała o najskrytszych tajemnicach... było to coś sztraszliwego, cudownego nie do uwierzenia!

Młodzież obecna, zaciekawiona zabierała się już wpaść do pokoju, kiedy lokaj pełniący w tym razie obowiązki odźwiernego, oświadczył że cyganka odmawia wróżyć mężczyznom, ale oczekuje na jedną jeszcze pannę pozostałą w salonie.

Osobą wskazaną w tén sposób byłam ja. Mocno zdziwiona tym niespodziewanym zaszczytem, nie czekałam aby zwrócić na siebie uwagę, całego towarzystwa i udałam się przed oblicze Sybilli.

Siedziała pochylona nad ogniem, w obszernym płaszczu czerwonym i starym czarnym kapeluszu, który się trzymał na jéj głowie za pomocą chustki związanéj pod brodą. Czytała, lub też zdawała się czytać w małéj książeczce czarnéj, którą zamknęła skoro weszłam.

— Chcesz więc wiedzieć swą przyszłość? zapytała patrząc mi bystro w oczy.

— Przeciwnie, to ty sama chcesz mi ją odkryć.

— Więc nie drżysz? pytała daléj groźnie z wielkiem mojem podziwieniem.

— Nie, nie jest mi zimno.

— Nie bledniesz?

— Nie,—jestem zdrowa.

— Nie radzisz się mnie?

— Nie—nie jestem obłąkana! odrzekłam z oburzeniem. Cyganka spojrzała na mnie bystro, odpowiedziała śmiechem przytłumionym i dobywszy krótką fajkę, zapaliła ją u kominka i rzekła.

— Dowiodłabym ci z łatwością, gdybym tego chciała, że jest ci zimno, że jesteś chora, i że nie masz zmysłów zdrowych. Ale nie oto idzie, pokaż no mi twoją rękę. Ton rozkazujący z jakim słowa te były powiedziane, rozgniewał mnie niewymownie, ale wprędce uspokoiłam się i z uśmiechem litości wyciągnąwszy rękę rzekłam.

— Moja matko, nic byście w niéj nie dopatrzyli gdybym w nią naprzód nie włożyła szillinga. Oto go macie, mówcie tedy otwarcie, nie lękam się niczego.

— Twoja ręka niema linii, jest nadto piękna na nic mi się nie przyda.

— Spodziewałam się tego, odpowiedziałam.

— Z resztą nie na ręku bywa wypisane przeznaczenie, jest ono wyryte na czole i w oczach, i wpatrując się pilnie jakby chciała przejrzyć tajnie mojéj duszy mówiła daléj.

— „Widzę tam wiele trosk, i dumy... Ale kiedy, tamci ludzie przesuwają się przed twojemi oczami, jak jaskrawe postacie odmalowane na latarni czarnoksięzkiéj, serce twoje daleko jest od nich,—nie ma nic wspólnego pomiędzy tobą a temi ludzkiemi cieniami.

— Ach! to prawda, zawołałam mimowolnie.

— Ha! uznajesz to przecie nareszcie, młoda niedowiarko. Ale to jest prawdą tylko w pewnéj części. Czyliż niéma posród tych istot jednéj, którą śledzisz okiem ciekawém?... A zamiast mówić o jednéj, możebym słuszniéj o dwóch to powiedziała.

— Nie mówmy o teraźniejszości, rzekłam, nieco zmięszana; nie jest ona wydziałem proroków, ale raczéj szpiegów. Twojém rzemiosłem jest odgadywać przyszłość, jakąż będzie moja?

— Jest ona wątpliwa, bo rysy twoje są w sprzeczności. Wiem tylko że przeznaczenie zgotowało dla ciebie szczęście bez granic, wiem o tém bo byłam temu dziełu przytomną. Czy zeń skorzystasz? Czy potrafisz pochwycić je w porę?... tę właśnie tajemnicę staram się przeniknąć... Zostań jeszcze.

— Ogień mnie parzy, nie myślę już tu zostać dłużéj,—odrzekłam podnosząc się do wyjścia.

— Jeszcze chwilkę, zawołała cyganka, zatrzymując silną ręką, i daléj mówiła znacznie ułagodzonym głosem.

— Odblask płomienia świeci w tém spojrzeniu... w tych oczach błyszczących jak rosa. Uśmiechają się one do słów moich... ożywiają się nagle, a w tych źrenicach przejrzystych odbijają się kolejno wszystkie wrażenia duszy. Zaledwie przestały się uśmiechać, oto są smutne znowu... teraz się odwracają, nie dając się badać... chcą mnie oszukać szydząc z mego doświadczenia.

Ale podoba mi się ta ostrożność. Oko przyjazne... usta ruchome i wdzięczne, jakby stworzone do śmiechu, nie wróżą nic złego. Czoło tylko osłonięte chmurą zdaje się mówić, że działanie serca równoważysz rozumem, a uczucie własnéj godności przenosisz nad wszystkie skarby swiata choćby strumieniem do nóg twych spływały. Czoło to błogosławione, godne ochrony... pieczy i poświęcenia. Dam ci je dam, panno Eyre, mówiła daléj cyganka z podnoszącym się zapałem,—jakże słodką ta chwila! czemuż wieczność przedłużoną być nie może! Ale trzeba umiéć panować nad sobą... wstań pani i odejdź... sztuka już odegrana..."

Zadrżałam... ostatnie słowa były wymówione zbyt dobrze znanym mi głosem. Ale w piérwszéj chwili jak w senném marzeniu, nie mogłam przypomniéć sobie do kogo należał. Stałam więc nie poruszona, blada, zmięszana, ale gdy cyganka odwrócona, wyciągnęła rękę dając znak odejścia, na palcu dojrzałam obrączkę... był to sam Rochester.

— Dosyć już téj komedyi, zawołał swoim zwykłym rozkazującym głosem i zrzuciwszy kapelusz, i płaszcz z ramion, mówił daléj z większą daleko łagodnością.

— Wszak nie masz mi pani za złe, żem użył podstępu aby ją zbadać i wykryć najtajniejsze życzenia. Tak się jednak nie stało. Zachowałaś jak zwykle zimną krew i rozwagę. To dobrze... cieszy mnie to niewymownie. Młoda panna nawet i w zwierzeniu się powinna niezapominać o swojéj godności... Ale co oni tam robią w salonie?

To zapytanie zimnym zrobione głosem, acz przykre i niemiłe, przywróciło mi przytomność. Przyciszyłam więc westchnienie i odrzekłam spokojnie.—„Bawią się, ale czy pan wié, że przybył nam gość jakiś nieznajomy".

— Gość? nic o tém nie wiem. Któż to być może? nie czekałem na nikogo? Czy odjechał?

— Nie, ze względu na stosunki dawno go z panem wiążące, zatrzymał się i postanowił czekać do pańskiego powrotu.

— Jak sie nazywa?

— Mazon, przybywa ze Spanish-Town z wyspy Jamajki.

PanRochester stał w téj chwili trzymając moją rękę, którą wziął, chcąc abym usiadła przy nim. Zaledwie wymówiłam te ostatnie słowa, ścisnął ją silnie konwulsyjném drgnieniem, uśmiech zamarł na jego ustach i jakaś duszność zatamowała mu oddech.

— Mazon..! powtórzył jakby bezprzytomnie, Mazon!.. Jamajka!.. Jamajka!.. Jamajka!.. Za każdém powtórzeniem tego słowa, twarz jego przybierała barwę coraz więcéj śmiertelną.

— Czy panu słabo? zapytałam z trwogą.

— Ach Joanno... to jest cios... cios okropny!..

Zachwiał się, jakby miał upaść.

— Oprzyj się pan na mnie, zawołałam.

— Ach! tak!.. jak kiedyś, jak ma być zawsze, wszak prawda?

Usiadł, wskazując mi krzesło obok siebie. Potém, wziął moją rękę w swoją dłoń drżącą, i patrząc na mnie wzrokiem jakby obłąkanym, rzekł głosem przerywaném i stłumionym.

— Chciałbym... chciałbym Joanno, być z tobą.. z tobą jedną, na jakiéj wyspie, daleko, daleko od wszelkich trosk i niepokojów... A nadewszystko daleko od tych wspomnień okropnych.

Tu głębokie westchnienie wydarło się z jego piersi, ale zaraz jakby zawstydzony chwilową niemocą, podniósł czoło ze zwykłą sobie dumą.

— Pójdź tam, Joanno, rzekł wreszcie, i zobacz co się dzieje. Jeżeli nie spostrzeżesz nic nie zwykłego, jeźli goście śmieją się i rozmawiają jak zawsze, powiedz temu... Mazonowi, że wróciłem i że go czekam. Przyprowadź go tu, i zostaw nas samych.

Kiedy wychodziłam, zawołał jeszcze.

— Joanno! posłuchaj mię... Gdyby ci wszyscy ludzie, którzy tam są, przyszli do mnie i z kolei w twarz mi plunęli, cobyś ty zrobiła?

— Co bym zrobiła? powtórzyłam nie pewna czy własny słuch mię nie myli.

— Tak, cóżbyś ty zrobiła? powtórzył.

— Wypędziłabym ich z tąd, odpowiedziałam czując czoło moje już płonące od gniewu, i obroniłabym cię panie.

Przelotny uśmiech zabłysnął na jego ustach.

— A gdybyś widziała, mówił daléj, że się oni odwracają odemnie i oddalają z pogardą, szepcząc pomiędzy sobą... gdybyś to widziała, cóżbyś wtedy uczyniła Joanno? czy opuściłabyś mnie także?

— „Nie... nie sądzę abym to uczyniła”—odrzekłam cokolwiek zdziwiona takiem badaniem.

— Zostałabyś więc ze mną aby mnie pocieszać i zniosłabyś dla mnie pogardę świata? zapytał Rochester a głos mu drżał i usta poruszały się niespokojnie. Zapytanie tak niezwyczajne, zdziwiło mnie niewymownie a nawet w piérwszéj chwili zmięszało, ale w prędce uprzytomniałam i parta dziwném poruszeniem serca, odrzekłam z mocą.

— Zniosłabym ją dla każdego, który zasłużył na podobny dowód przyjaźni, a pan godzien go jesteś, nie wątpię o tém.

— Więc dobrze. Idź teraz Joanno i zrób com ci powiedział.

Skoro weszłam do sali jadalnéj, gdzie goście zajęci byli suto zastawionėm śniadaniem, zbliżyłam się do pana Mazona i powtórzyłam mu zaproszenie Rochestera, poczém wskazawszy mu drogę, wróciłam do mojego pokoju.

— Późnym wieczorem, słyszałam leżąc w łóżku, jak nasi goście rozmawiali pomiędzy sobą, rozchodząc się do swoich pokojów. Poznałam wśród innych głos Rochestera.

— Chodź tędy, Mazonie, mówił, twój pokój jest w téj stronie.

Słowa te wymówione swobodnie i wesoło, uspokoiły mnie zupełnie i wkrótce zasnęłam. Ale ponieważ zapomniałam pospuszczać zasłony w oknach, zaledwie się księżyc wzniósł na niebie, przebudziłam się oblana blaskiem jego promieni. Przypatrywałam się z upodobaniem przez czas niejaki srebrnéj tarczy jaśniejącéj na pogodném niebie, a nasyciwszy się uroczystym spokojem tego pięknego widoku, wstałam aby zasunąć firanki.

W tém krzyk donośny, ostry i dźwięczny, niby świst olbrzymiego pocisku, przerwał ciszę nocną... krew się we mnie ścięła, serce bić ustało, ręka moja wyciągnięta pozostała w miejscu jakby skamieniała. Nadsłuchiwałam przerażona, ale krzyk nie ponowił się więcéj. Pochodził on z wyższych części zamku; zdawało mi się że przebiegł po nad głową. Wkrótce usłyszałam tuż nad moim pokojem odgłos jakby walki jakiejś gwałtownéj i trzykrotne wołanie przytłumionym głosem.

— Ratunku! ratunku! ratunku!

— O Boże! czyż nikt nie nadejdzie? dodał potém tenże sam głos, z boleścią. Jednocześnie dało się słyszéć wyraźnie stukanie mebli i głuchy jęk uginającéj się posadzki pod ciężarem dwóch osób, które zdawały się chcieć jedna drugą powalić o ziemię.

Potém znowu dosłyszałam wyraźnie te słowa.

— Rochesterze! ratuj, na miłość Boga!

W tém drzwi się otworzyły na kurytarzu i ktoś przebiegł szybko. Usłyszałam wkrótce też same kroki w pokoju gdzie się odbywała walka, potém jakieś ciało padło ciężko o ziemię... i nastąpiła głęboka cisza.

X.

Chociaż z przerażenia drżałam jak w napadzie febry, przytomność jednak miałam zupełną, zarzuciwszy więc na siebie nieco odzienia wybiegłam na kurytarz. Zastałam tam już kilka osób, we wszystkich drzwiach okazywały się twarze strwożone i zewsząd dawały się słyszéć zapytania lub wykrzykniki świadczące o zdziwieniu i przestrachu ogólnym.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).